

Artur Hutnikiewicz

Rehabilitacja Grabińskiego*

do druku podała
Bogdan Burdziej

30 stycznia 1974

Od kilku tygodni idą w telewizji stare filmy przedwojenne – cykl obrazów z Gretą Garbo, a obecnie z Marleną Dietrich. Marlena była bóstwem mojej i nie tylko mojej młodości. *Marokko*, które wyświetlono właśnie przed kilku dniami, widziałem jeszcze przed wojną i muszę przyznać, że w przeciwieństwie do *Błękitnego anioła* film ten nie zestarzał się prawie zupełnie. Różnica niewielu lat między obu obrazami uzmysławia szalony postęp w kinematografii ostatniego dziesięciolecia międzywojennego. Gary Cooper i Marlena z *Marokka* grają już z tą samą prawie naturalnością i oszczędnością gestu, jak się gra obecnie. Marlena, jeszcze w tamtym czasie bardzo młodziutka, jest oczywiście olśniewająca – wdzięk postaci, cudowne nogi, odurzające stroje czynią z niej zjawę niepokojącą wszystkich mężczyzn każdego wieku.

To mi przypomniało moją młodzieńczą kinomanię, której sprawcą był poniekąd Grabiński. Przyjaźniąc się z moją matką zawsze dawał mi na kino i tak to się zaczęło. Miałem wówczas dziesięć zaledwie lat i byłem oczywiście zaprzysięgłym wielbicielem amerykańskich westernów, Toma Miksa i jego białego konia, którzy niemal permanentnie gościli na ekranie kina mieszczącego się w Pasażu Mikolascha i specjalizującego się wyłącznie w takim właśnie przygodowym repertuarze. Były to jeszcze czasy kina niemego, na ekranie obrazy gonitw i strzelaniny przeplatały się z olbrzymimi napisami, a na balkonie sali kinowej przygrywała orkiestra, wyzyskując popularne melodie Verdiego i Suppého, odpowiednio dobrane i nadające się szczególnie jako ilustracje muzyczne do cowboyskich galopad. W kinoteatrach ówczesnych panował jako rzecz naturalna miły bezład i nieporządek, można było wejść na salę w każdym momencie w trakcie trwania seansu i pozostać tak długo, jak się będzie chciało, toteż niejedną z owych oszalałających mnie awantur filmowych oglądałem pod rząd dwukrotnie, nie wychodząc z kina przez kilka godzin.

* Artur Hutnikiewicz (ur. we Lwowie 12 I 1916, zm. w Toruniu 16 IV 2005, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza, historyk literatury, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika) prowadził w latach 1973–2002 *Dziennik* (w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej UMK). Tytułem niniejszego wyboru (publikowanego za zgodą Fundacji upamiętniającej osobę i dzieło Autora) jest fraza wzięta z zapisu z dnia 27 X 1988.

W latach późniejszych moje upodobania zmieniły się, oczywiście, i przesunęły w kierunku tak popularnych wówczas filmów grozy z epoki niemieckiego ekspresjonizmu, z takimi aktorami wyspecjalizowanymi niejako w niesamowitościach tego rodzaju jak Konrad Veidt, Lon Chaney, Paul Wegener czy Borys Karloff. *Człowiek śmiechu* według Hugo z Veidtem w roli głównej, *Upiór w operze* z genialnym Lon Chaneyem, *Frankenstein* Karloffa – dla mojej chłopięcej wyobraźni i wrażliwości były to niezapomniane przeżycia. Kolosalne wrażenie wywarła również na mnie filmowa przeróbka słynnej noweli Stevensona *Dr Jekyll i Mr. Hyde* z Fryderykiem Marchem w roli rozdwojonego wewnątrznie bohatera. W latach uniwersyteckich przyszedł wreszcie czas na melodramaty z Gretą i Marleną oraz z ich wspaniałymi partnerami, Charlesem Boyerem i Gary Cooperem, a także na tak popularną ówczesnie komedię muzyczną z Jeanette MacDonald, z Kiepurą, Martą Eggerth, z Franciszką Gaal, Beniaminem Gigli, Józefem Schmidtem. No i oczywiście z całą rewią naszych rodzimych gwiazd lekkiej komedii: z Modzelewską, Mankiewiczówną, Grossówną, Szczepańską, Ćwiklińską, Bodo, Dymszą, Zniczem, Sielańskim, Żabczyńskim i wieloma innymi. Nie była to wielka kinematografia, ale dawała ona doskonałą rozrywkę, przynosiła radość i śmiech, a przede wszystkim melodie, piękne, łatwe, wpadające w ucho, które podchwytowała potem cała Polska, wypełniając nimi wszystkie ulice, parki i podwórka. [...]

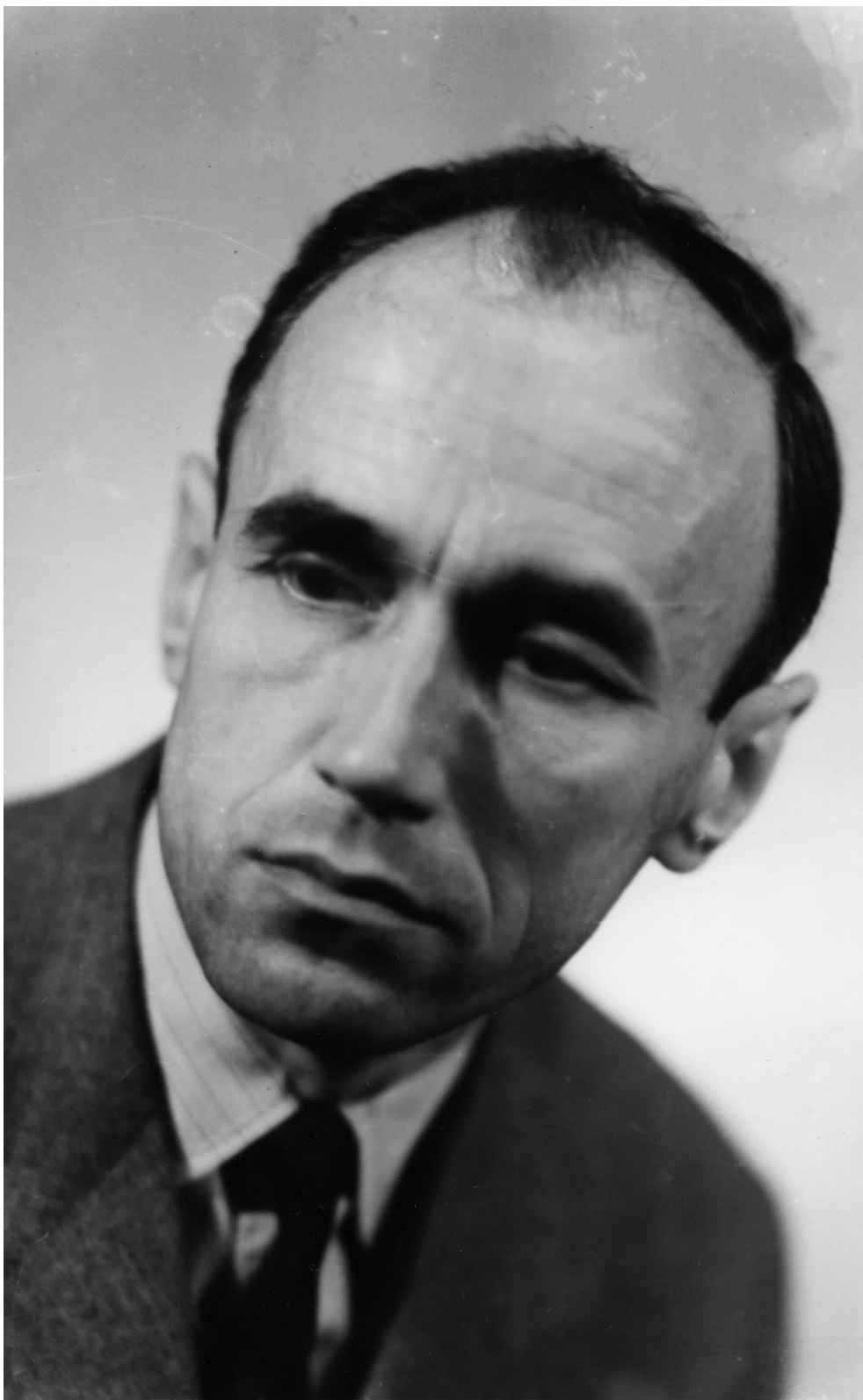
11 lutego 1974

W sobotę skończyłem *Lechonia*, a dziś zacząłem przepisywać na maszynie. Tłukłem przez cały prawie dzień, rozdierany sprzecznymi wrażeniami, że to nędzne, niewiele warte. Ta niekończąca się huśtawka nastrojów: czytam i wydaje mi się znośne, a po chwili ogarnia mnie paniczny lęk, że to stek banałów albo myśli nie moich. To uczucie dezaprobaty towarzyszy mi od początków mego pisarstwa. Niektórych kart mojej pierwszej książki o związkach Żeromskiego z naturalizmem czy monografii o Grabińskim nie mogę zupełnie czytać, boję się ich po prostu, tak mi się wydają w złym stylu i zawstydzające. Miałem krytyków pobłażliwych lub wspaniałomyślnych, którzy dopatrzyli się w tych książkach nawet pewnych wartości, ale nikt nie jest tak nieubłagany sędzią tej mojej pisarskiej bazgraniny co ja sam. Mam wrażenie, że uczę się wciąż bez przerwy, jak należy naprawdę pisać, i że najlepsze są niektóre moje mniejsze eseje, artykuły, odczyty oraz niewielkie monografie: *Przedwiośnia*, *Hymnów*, a także wstępy do Żeromskiego w Bibliotece Narodowej. Czytając dopiero te w ostatnich latach napisane przeze mnie teksty nie odczuwam pokusy darcia tego i całkowitego zniszczenia. Nic nie jest bardziej ulotne od pracy krytyka i badacza literatury. Świat się zmienia i każde pokolenie pisze od nowa swoją własną historię. [...]

6 listopada 1974

Przeczytałem wznowiony niedawno tom opowiadań Villiersa de l'Isle-Adama *Opowieści okrutne*. Czytałem je już kilkakrotnie w życiu, przed wojną, w latach wczesnej młodości, w jakimś tanim wydaniu „Biblioteki Groszowej” jako *Tajemnice szafotu*, a potem już po wojnie, gdy w związku z Grabińskim penetrowałem zaciekle całą tę dziedzinę przerażeń w Polsce i na świecie. A może od dzieciństwa miałem w sobie jakiś przewrotny pociąg do historii

Artur Hutnikiewicz
(1916–2005), monografista
i edytor twórczości Stefana
Grabińskiego.
Fot. Alojzy Czarnecki,
lata 50. XX w.
Ze zbiorów Archiwum UMK



284

LITTERARIA COPERNICANA 1(11)/2013

tego rodzaju z pogranicza grozy i lęku? A może jest to kwestia pewnej wrażliwości nerwowej i pewnych doświadczeń z lat najwcześniejszego dzieciństwa, gdy świat nawet najbliższy wydawał się obszarem nieskończonych tajemnic? Mieszkało się wówczas w starych domach, gdzie ponad najwyższymi piętrami istniały jeszcze ciemne, duszne, przepastne strychy, zasłane miękkim kurzem i zasnutę sznurami gęstych, lepkich pajęczyn, pełne tajemniczych rupieci, trzasków, szeptów, szelestów; chłodne, mroczne sienie o drewnianych schodach, skrzypiących pod stopami zagadkowych przechodniów. Wieczorami, w zupełnej ciszy ktoś stąpał ciężko wspinając się na piętro i zatrzymywał się przed drzwiami, tak iż przyklejony niemal do nich uchem słyszałem zmęczony oddech, czułem czyjąś niewidzialną obecność.

W domu, w którym mieszkałem, mieliśmy sąsiadkę, starą, siwą, bardzo groźnie wyglądającą panią K., pod której opieką pozostawiały mnie i ówczesnego mojego przyjaciela i towarzysza zabaw Jędrusia L., pięcioletnich chłopców, nasze młode matki, gdy wesole i piękne wybierały się do miasta w celach dla nas nieznanym. Pani K. urzędowała w owe wieczory, gdyśmy z nią sami zostawali, seanse spirytystyczne w wielkim pokoju państwa L. Przykucnięci za łóżkiem, spoglądaliśmy w lęku, jak w mrocznym świetle lampy naftowej (wtedy nie było jeszcze w starej, wiekowej kamienicy oświetlenia elektrycznego) siada przed malutkim stolikiem, odchylając swoją siwą, niesamowitą, jakby naelektryzowaną, fosforyzującą głowę do tyłu, kładzie ręce przed sobą i zdaje się zapadać w trans. I wówczas stolik zaczynał się powoli wznosić, poruszać, a może nam się tylko tak wydawało w naszej podnieconej imaginacji. Nasza przygodna opiekunka miała, jak się zdaje, życie dość ciężkie; była starą, niezamężną kobietą, miała równie starego jak ona przyjaciela, który ją niekiedy odwiedzał i, być może, materialnie wspomagał. Ale z czego naprawdę żyła nie mając żadnych dochodów, tego nikt na dobre nie wiedział. Któregoś dnia znaleziono ją martwą, powieszoną na poręczy łóżka.

O duchach, o życiu pozagrobowym, o niesamowitych znakach, przysyłanych z „tamtego brzegu” mówiło się w tych latach często i z najgłębszym przekonaniem o absolutnej prawdziwości fenomenów tego rodzaju. Były to czasy niesłychanej popularności teozofii i antropozofii, praktyk metapsychicznych i okultystycznych. Pewnej nocy wyrwało nas gwałtownie ze snu jakieś głośnie uderzenie, jakby ktoś w kuchni rondłem blaszanym cisnął z całej siły o ziemię. Okazało się po sprawdzeniu, że w istocie nic się nie stało i że wszystkie naczynia znajdują się w największym porządku na swoich miejscach. Dopiero rankiem dowiedzieliśmy się wszyscy, że tej właśnie nocy umarła nasza stróżka, dozorczyńca posesji, mieszkająca w suterrenach. Nikt nie kwestionował realności owego niesamowitego wydarzenia nocnego, które uznano za znak przesłany przez umierającą w momencie śmierci. Kiedy indziej, w czasie mego pobytu na wakacjach w Bortkowie¹, miałem sen, z którego obudziłem się z uczuciem przerażenia i lęku. Śniło mi się wówczas, że jakiś potworny, olbrzymi szczur gryzie mnie, atakuje z furją, z wściekłością w oczach, wyszczerzając białe, ostre, spiczaste zęby. Zbudziłem się zlany potem i z momentalnym przeczuciem, że coś złego się stało. W kilka godzin później otrzymałem telegram z domu, wzywający mnie natychmiast do Lwowa z powodu nagłej, nieoczekiwanej choroby matki. Telepatia wyprzedziła tu widomie naturalne środki komunikacji.

¹ „Bortków. To była pierwsza prawdziwa wieś, jaką [jako] dziecko miasta poznałem. Położony na uboczu, bodaj 7 mil od najbliższej stacji w wołyńskim Krasnem, na linii lwowsko-złoczowsko-tarnopolskiej [...]” (A. Hutkiewicz, *Dziennik*, 12 VIII 1977 r.) [przypis wydawcy].

W latach późniejszych znajomość ze Stefanem Grabińskim, moim krótkotrwałym nauczycielem, który bywał też gościem w naszym domu, rozbudziła we mnie pasję i namiętność do kina, które przeżywało właśnie wówczas swoją fazę ekspresjonizmu. Szły bez przerwy przez ekrany kinematografów najstraszliwsze dreszczowce, horrory i thrillery: *Nosferatu*, *Doktor Mabuse*, *Gabinet doktora Caligari*, *Upiór w operze*, *Człowiek śmiechu*, *Doktor Jekyll i Mister Hyde*. Zaprzedałem się tej urzekającej namiętności z duszą i ciałem aż do całkowitego zaniedbania moich powinności uczniowskich. Miałem chroniczne, permanentne kłopoty z matematyką, zmorą mojej młodości. Wynaleziono mi korepetytora, ogłaszającego się od lat w najpopularniejszej, popołudniowej gazecie lwowskiej, w „Wiek Nowym”, jako „akademik-pedagog”, przygotowujący pod gwarancją z wszystkich przedmiotów. Mój preceptor był postacią dziwną i niesamowitą. Zawsze czarno ubrany, okutany szalikiem, z okrągłą czapką na głowie, przypominającą okrycia studenterii rosyjskiej, wiecznie zdenerwowany i z rozbieranymi oczyma, przywoływał nieodparcie wspomnienie którejś z postaci anarchistów-rewolucjonistów z powieści Dostojewskiego czy Raskolnikowa w godzinę po zamordowaniu wiedźmowatej staruchy. Moje wizyty u niego (bo korepetycji udzielał tylko u siebie) kończyły się najczęściej odesłaniem do domu: „Słuchaj, dzisiaj jestem bardzo zajęty, może przyjdiesz jutro”. Nieodpowiedzialność mojego preceptora idealnie mi odpowiadała, odpowiadała tym bardziej, że tuż obok siedziby „akademika-pedagoga” mieściło się maleńkie kino „Fatamorgana”². Zamiast na lekcjach algebry siadywałem więc w przyćmionej salce przytulnego iluzjonu, wlepiając rozgorączkowane spojrzenie w srebrzysty ekran. W domu oczywiście nic o tych praktykach nie wspominałem.

Czytane wówczas opowieści Villiersa robiły na mnie silne wrażenie. Dziś widzę wszystkie ich słabostki i cały ich racjonalizm, który rozbija i niszczy wszelkie mogące się rozwinąć uczucie niesamowitości. Francuzi są racjonalistami i każde opowiadanie grozy jest dla nich tylko konceptem, w przeciwieństwie do Anglosasów, którzy mają wrodzony zmysł tajemnicy i potrafią genialnie ową tajemniczość rzeczywistości sugerować. Nasz mało stosunkowo znany i wciąż nie doceniany Grabiński przewyższa owe naiwne okrucieństwa Villiersa o całe niebo. [...]

29 września 1987

W początkach roku 1951 z pierwotnej polonistyki toruńskiej zostały więc tylko niedobitki: profesorowie Kucharski i Makowiecki, zresztą coraz mniejszą odgrywający rolę w tym gospodarstwie, pierwszy z powodu osiągnięcia wieku emerytalnego i gwałtownego pogorszenia się stanu jego zdrowia, drugi z powodu odsunięcia go na boczny tor i pozbawienia go tym samym jakiegokolwiek wpływu na bieg wydarzeń. Z asystentów zostałem tylko ja i Bożena Osmólska. [...] w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych cały ciężar dydaktyki spadł na dwoje ocalałych adiunktów, mnie i Osmólską. Był to najcięższy okres w mojej służbie akademickiej, Nadolski jako kierownik katedry zespołowej eksploatował mnie nieludzko jako galernika nieomal, wykonującego wszystko, co mu się każe. Byłem jedynym wykładowcą teorii literatury, poetyki, stylistyki i wersyfikacji, literatury Młodej Polski i dwudziestole-

² Wejście do kina „Fatamorgana” przedstawia „Ilustrowana Kronika Tygodniowa”, dodatek lwowskiej „Gazety Porannej”, 1926, luty, s. 4 (zob. <http://www.wbc.poznan.pl/dlibra/plain-content?id=202481> [dostęp: 21.03.2013]).

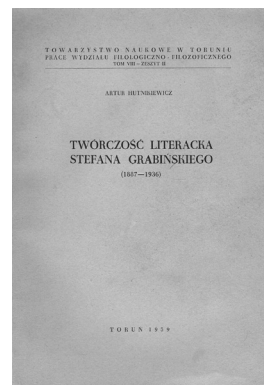
cia międzywojennego, nauk pomocniczych historii literatury, literatury powszechnej od antyku aż po współczesność, prowadziłem wykłady monograficzne. Zapewne nauczyłem się przy tej sposobności dość wiele, ale było to mordercze jako wysiłek i zabójcze dla mojej własnej pracy naukowej. Sam nie pojmuję dzisiaj, jak mogłem w tych warunkach napisać obok dziesiątków artykułów aż dwie książki, studium o Żeromskim i naturalizmie i monografię o Stefanie Grabińskim. [...]

6 listopada 1987

Wracam do przerwanej wątku moich dziejów sprzed lat czterdziestu. Moje pierwsze, nieśmiałe próby pisarskie przypadły na ten właśnie okres bardzo już wyraźnej i silnej polaryzacji ideologicznej. Nie dopuszczałem ani na moment myśli o możliwości prezentowania swoich prywicy krytycznych na łamach pism marksistowskich, ale nie bardzo nęcił mnie też nazbyt konfesyjny, jak mi się zdawało, charakter „Tygodnika Powszechnego”, choć byłem od początku jego pilnym czytelnikiem i prenumeratorem. Wydawał mi się zresztą zbyt wysoki i niedosięgly dla mej skromnej osoby nic sobą nie przedstawiającego adepta i aspiranta, gdy tam pisywali Górski, Borowy, Pigoń, Kleiner, luminarze mojej parafii. Szukałem miejsca dla siebie mniej dostojnego i jeśli to możliwe ideologicznie neutralnego. Takim piśmie był dwutygodnik, w istocie bardzo kapryśny wychodzący, „Warszawa”, redagowany przez poetę Jana Szczawieja przy współudziale Marii Dąbrowskiej. Opublikowałem w tym piśmie kilka recenzji, m.in. o książkach Wyki i Matuszewskiego, oraz artykuł o Edgarze Allanie Poe, bo już wówczas interesowałem się fantastyką i Grabińskim. [...]

16 listopada 1987

Moja pozycja uniwersytecka w latach stalinizmu stawała się z każdym dniem coraz bardziej niepewna. Miałem stopień doktora, ale w profesjonalnym środowisku polonistycznym byłem osobą poza Toruniem nieznaną, nie chciałem poddać się presji ideologicznej, pisać pod dyktando, powoływać się ustawicznie na wulgarne schematy marksistowskie i na czterech „ewangelistów”, Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, z tym ostatnim na czele jako nadludzkim geniuszem wszystkich czasów, co robili przecież liczni znani i sławni, moja współpraca z prasą tzw. katolicką była przysłowiowym gwoździem do trumny, moje akcje spadały z każdym miesiącem coraz wyraźniej i liczyłem się z możliwością, że któregoś dnia zostaną po prostu wylany – jak to się potocznie mówi – „na zbity pysk”. Byłem na to psychicznie i moralnie przygotowany, myśl o ewentualnych następstwach takiego możliwego obrotu rzeczy przyjmowałem z tą cudowną lekkomyślnością, jaka jest przywilejem młodości, która się niczego nie boi. Niemniej jednak odczuwałem potrzebę jakiejś poważniejszej pracy nawet bez myśli o szybkiej publikacji, dla własnej jedynie satysfakcji i zadowolenia, że robię to, co chcę, poza jakimkolwiek przymusem. I tak wpadłem na myśl napisania jakiegoś większego studium o Stefanie Grabińskim. Gdzieś w podświadomości tkwiła u źródeł tej decyzji pamięć o tym dziwnym człowieku, którego znałem kiedyś jako chłopiec i który uczył mnie nawet krótko w moim lwowskim gimnazjum, a jego niesamowita twórczość zawsze mnie pociągała i pobudzała jakieś tkwiące we mnie osobliwe skłonności i szczególną



**Pierwsza monografia
twórczości Grabińskiego,**
autorstwa Artura
Hutnikiewicza

287

LITTERARIA COPERNICANA 1(11)/2013

wrażliwość na literaturę tego rodzaju. Pracę zaplanowałem sobie metodycznie, z wyraźnym ustaleniem kolejnych faz i stadiów realizacji pomysłu, które potem skrupulatnie i systematycznie usiłowałem wykonywać. Skompletowałem poprzez różne kwerendy i penetracje antykarskie maksimum osiągalnych tekstów pisarza, zwróciłem się do kilku pism literackich i społeczno-kulturalnych z apelem do wszystkich osób, które bądź Grabińskiego znały, bądź posiadają jakiegokolwiek materiały dotyczące jego osoby i twórczości o skontaktowanie się ze mną. Odezwy na ten apel okazały się wyjątkowo szerokie, odezwali się gimnazjaliści koleżki Grabińskiego i jego uczniowie, przyjaciele i pisarze, a co najważniejsze trafiłem na ślad i źródło rękopisów w postaci papierów po pisarzu, które wywiózł ze Lwowa jego młody wówczas sąsiad, nic zresztą nie mający wspólnego z literaturą lekarz medycyny dr Witold Janiak. Wiele cennych informacji dostarczył mi zaprzyjaźniony z Grabińskim znany krytyk Jerzy Eugeniusz Płomieński, z którym nawiązałem potem wieloletnią, trwającą aż do jego śmierci wymianę listów. Moje ówczesne lektury obracały się odtąd niemal wyłącznie w kręgu polskiej i światowej fantastyki literackiej. Po mniej więcej roku tych przygotowań zasiadłem wreszcie do pisania. Odrabiałem tę robotę sumiennie, konsekwentnie, systematycznie, codziennie po kilka godzin z żelazną regularnością, aczkolwiek nikt mnie przecież nie popędzał, a myśl o ewentualnym opublikowaniu kiedyś książki tego rodzaju nie nawiedzała mnie nawet w najśmielszych snach. To, w czym tkwiłem, było przecież tak niebywale dalekie od wszystkiego, co mnie otaczało dokoła, że jakkolwiek nadzieję na wydanie tej pracy, która wyraźnie rozrastał się do rozmiarów, jakich nie przewidywałem z początku, odrzucałem z miejsca jako śmieszny i nierealny utopię. Ale dawała mi zarazem ta na pozór całkowicie nieproduktywna i bezsensowna robota jakąś szczególną, wewnętrzną satysfakcję, poznawałem jak gdyby smak bezinteresownego poszukiwania prawdy, tę jedyną w swym rodzaju przyjemność, jaką daje działalność twórcza, a więc i twórczość naukowa, odkrywanie czegoś nowego dla samej radości tego odsłaniania jakiejś rzeczy nieznannej; było też swoistą ucieczką, niezastąpionym, idealnym azylem, do którego się chroniłem przed coraz bardziej odpychającą i odrażającą rzeczywistością. [...]

27 października 1988

Pracę naukową uważałem od początku swojej kariery uniwersyteckiej za jeden z podstawowych obowiązków zajmowanego stanowiska. Okres stalinowski zablokował mi ujawnienie publicznie moich w tym zakresie możliwości. Odrzucałem marksizm jako metodologię, a to zamykało mi wstęp do wszelkiego typu wydawnictw i periodyków naukowych. Pisywałem artykuły do „Dziś i Jutra” na prawach wolnego strzelca, ale to nie zaspokajało moich ambicji. Dopiero w latach „odwilży” udało mi się opublikować pierwszą moją książkę o Żeromskim i naturalizmie. Ale w tej luce czasowej między napisaniem rozprawy doktorskiej w latach czterdziestych a tą książką z roku 1956 powstała jeszcze jedna, obszerna, prawie 500-stronicowa monografia o Stefanie Grabińskim. Ze względu na jej temat, na sam typ literatury, jaki pisarz stworzył, było to zupełnie *novum* – książka o fantastyce, ale nie w stylu science fiction, lecz odwołującej się do magii, demonologii, teozofii i parapsychologii, a więc na tle ówczesnych prac o literaturze, zdominowanych całkowicie przez marksistowski socjologizm, będąca swoistym zaskoczeniem i dziwnym ewenementem. Mogłem więc bez fałszywej skromności uznać się za prekursora w tematach, które stały się później modne, ale

w wiele lat po tym moim debiucie. Udało mi się też dokonać swoistej rehabilitacji Grabińskiego, który, doszczętnie zapomniany, zaczął przeżywać swój renesans, co przejawiało się w wielu wydaniach jego nowel zarówno w kraju, jak za granicą. Usiłowałem między innymi utorować drogę Grabińskiemu do czytelników obcych poprzez korespondencję z jednym z najbardziej zasłużonych tłumaczy literatury polskiej doktorem Alfredem Loepfe ze szwajcarskiej Lucerny. Monografia Grabińskiego ukazała się w wydawnictwie Towarzystwa Naukowego w Toruniu w roku 1959 i miała szereg na ogół pozytywnych recenzji. W recenzjach tych obok słów uznania i zaciekawienia wyczuwało się jednocześnie ton niepewności, czy pisarz tego rodzaju zasługiwał na aż tak wielką książkę. [...]



Janina Brzostowska
(1902–1986), koleżanka
po piórze, bohaterka jednej
z recenzji Grabińskiego.
Źródło: J. Brzostowska,
Mysli o szczęściu,
red. M. Akavia, przedm.
W. Brostow, Jeruzalem 2003

11 grudnia 1988

Jakoś na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rozpocząłem bardziej ożywioną działalność odczytową. Zjechałem w ciągu lat kilku prawie większość kraju. Oczywiście, najczęściej występowałem w środowisku najbliższym, w Toruniu i Bydgoszczy, w Inowrocławiu i Włocławku, ale przejechałem też po przekątnej łączącej tak odległe regiony kraju jak Przemyśl i Szczecin, Suwałki i Zielona Góra. Występowałem w Warszawie, w Poznaniu, Lublinie, Kielcach, Opolu, Rzeszowie, Tarnowie, Jarosławiu, Gdańsku, Malborku, nawet w Wałczu. Jeździłem na zaproszenie instytucji, towarzystw naukowych, wyższych uczelni i pojedynczych osób, które słyszały o mnie lub kiedyś znały. W ten sposób odnowiłem wiele

starych przyjaźni i znajomości jeszcze z lat młodzieńczych. I tak na przykład do Kielc, Tarnowa i Jarosławia zaprosiła mnie moja młodsza koleżanka z lwowskich lat uniwersyteckich Iza Tarnawska, do Szczecina również koleżanka ze studiów, będąca w tym mieście kierowniczką Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki. Tej działalności odczytowej sprzyjały przypadające właśnie na lata sześćdziesiąte rocznice literackie: stulecie urodzin Żeromskiego i pięćdziesięciolecie śmierci Sienkiewicza. Zapraszany jako „znawca twórczości Żeromskiego”, odbyłem prawdziwe tournée po całej Polsce – miałem referaty na konferencjach organizowanych przez Instytut Badań Literackich w Warszawie, Towarzystwo Mickiewiczowskie w Rzeszowie, przez Klub Literacki w Bytomiu i przez opolską Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Konferencja na temat pisarzy Ziemi Przemyskiej ściągnęła mnie aż do tego grodu nad Sanem z powodu Grabińskiego, który mieszkał przez lat kilka w Przemyśle jako nauczyciel gimnazjalny. Te rozjazdy pozwalały mi poznać różne środowiska i nieznanymi mi dotychczas ludzi, z którymi związały mnie w przyszłości więzy bardzo bliskiej przyjaźni. [...]

27 grudnia 1988

[...] Rolę szczególną odegrali w mojej biografii indywidualnej oczywiście poloniści, przede wszystkim dr Juliusz Balicki, współautor z lwowskim poetą Stanisławem Maykowskim najpiękniejszych książek do nauki języka polskiego w niższych klasach ówczesnego gimnazjum: *Kraj lat dziecinnych*, *Będziem Polakami*, *Miej serce*. Jedną z tych książek, *Będziem Polakami*, ofiarował mi Balicki w klasie II w nagrodę za wyróżnione na konkursie zadanie z serdeczną dedykacją. Balicki był tym moim nauczycielem, który już w tych latach przesądził definitywnie całą moją przyszłość życiową. [...] Z wdzięcznością wspominam też moich późniejszych nauczycieli języka polskiego po odejściu Balickiego do Warszawy na wysokie stanowisko ministerialne – wybitnego pisarza Stefana Grabińskiego, Zygmunta Żurawskiego, który mnie uczył najdłużej, i doktora Władysława Stabryłę, który patronował mojej maturze, a w późniejszym życiu zaszczycał mnie swoją przyjaźnią. [...]

21 listopada 1996

Niedawno miałem telefon od pani Pawlakowej, toruńskiej przewodniczącej Towarzystwa Miłośników Lwowa, z prośbą o przybycie na dzisiejsze spotkanie z członkami naszego klubu i żebym coś im powiedział jako sprawdzony już prelegent. Poszedłem i już na wstępie stropił mnie nieco bardzo nieliczny udział naszych członków, co tłumaczono złą pogodą, choć zimy i mrozów jeszcze nie ma. Brak zupełny osób ze środowiska uniwersyteckiego. Czyżby to sygnał powolnego przechodzenia tego ogniska dawnych Polaków z ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej w stadium stopniowego schyłku i zmiernych samej idei pielęgnowania pamięci narodowej? Cóż robić, może takie jest prawo nieubłaganego czasu, który wszystko pochłania. Smętnie mi było. Wygłosiłem krótką prelekcję czy raczej wspomnienie o Stefanie Grabińskim, jako że w tych dniach minęła sześćdziesiąta rocznica jego śmierci. Oczywiście, nikt z obecnych o nim nie słyszał, a tym bardziej nie czytał, choć czytają go w zachodniej Europie i w Stanach Zjednoczonych. Zachęcałem słuchaczy, aby próbowali się z nim zapoznać, choć nie bardzo wierzę, by to zrobili. [...]

11 lipca 1998

W najnowszej „Więzi” znalazłem dwa nekrologi dwu znajomych, jednego jeszcze z lat przedwojennych, drugiego poznanego już po wojnie. Marian Jakóbiec był sławistą, którego nieraz spotykałem w okolicach polonistyki lwowskiej i zakładu języków słowiańskich, którym w początkach moich studiów kierował Witold Taszycki. Jakóbiec był już wówczas doktorem, ale, bezpośrednio z uniwersytetem nie związany, pracował w niedalekim Ossolineum jako bibliotekarz i stypendysta. Był znanym specjalistą od literatur słowiańskich, zwłaszcza rosyjskiej i serbsko-chorwackiej. Był na studiach w Belgradzie, skąd przywiózł sobie żonę, bardzo ładną. Spotkałem go po wojnie kilkakrotnie we Wrocławiu, gdzie doczekał się profesury. Był to człowiek o ujmującym uśmiechu i stylu bycia, lwowiak ostatecznie, z którym łączyły mnie podobne doświadczenia, ludzie i rzeczy.

Lesława Eustachiewiczza poznałem po wojnie, był wychowankiem Uniwersytetu Poznańskiego, miał biografię bardzo skomplikowaną i niełatwą, należał do tej generacji, prawie mi rówieśnej (ur. w 1913), którą wojna doświadczyła szczególnie. Wysiedlony przez Niemców z Poznania, znalazł się na Lubelszczyźnie, uczestniczył w działalności Szarych Szeregów i Armii Krajowej. W roku 1944 aresztowany przez komunistów, doczekał się wyroku śmierci, na szczęście uchylonego przez amnestię. Po wojnie wykładał literaturę współczesną w Poznaniu, Krakowie, Kielcach i Siedlcach, ale tzw. kariery naukowej nie zrobił, choć publikował dość wiele. W ogóle miał życiorys osobliwie powikłany – żołnierz AK, więzień agentury sowieckiej, po wyjściu z więzienia członek PZPR, współpracownik PAX-u wyraźnie kolaborującego z komuną – w sumie tragiczny. Byłem mu osobiście wdzięczny za bardzo pozytywną recenzję mojego *Grabińskiego*, którą opublikował w „Pomorzu”.



...Nad torem, po prawej stronie przestrzeni błyszczał zdaleka w mrokach wieczora świetlny sygnał; dwoje dużych, złotych oczu...

Ilustracja do noweli
Engramy Szatery,
„Naokoło Świata”
1926, nr 28,
rys. J. Kozuchowski

291

LITTERARIA COPERNICANA 1(11)/2013